NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 6·25 Półrocznie kor. 12·50. Rocznie kor. 25. — Do Niemiec: Kwartalnie 6 kor. 90 hal. Półrocznie 13 kor. 80 hal. Rocznie 27 kor. 60 hal. z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 7 kor. 55 hal Półrocznie 15 kor. 10 hal. Rocznie 30 kor. 20 hal., z przesyłką poczt

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny)

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Królestwo Polskie: Władysław Biernacki w Warszawie, Hoża 15.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 50 halerzy.

Rok XIV. | Kraków, 20 października 1917. | Nr. 42.

Kraków Kościuszce.

Uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod pomnik Kościuszki na Rynku. (Fot. Pierzchalski, Kraków.)

Kraków Kościuszce.

Godnie i wspaniale uczcił Kraków setną rocznicę śmierci niezapomnianego Naczelnika.

Na uroczystość przybrało się miasto odświętnie, z bliższych i dalszych okolic poczęły spływać do podwawelskiego grodu tysiączne rzesze, należące do wszystkich stanów. Zwłaszcza włościaństwo przybyło bardzo licznie.

Obchód rozpoczął się w dniu 13. października uroczystem otwarciem wystawy Kościuszkowskiej w salach Muzeum Narodowego w Sukiennicach. W uroczystości wzięli udział oprócz członków Komitetu wystawy, z prezesem p. drem J. Muczkowskim na czele, przedstawiciele Rady m. Krakowa, dostojnicy,

Kraków Kościuszce: Otwarcie wystawy Kościuszkowskiej w Sukiennicach.
(Fot. Pierzchalski, Kraków).

Kraków Kościuszce: Posłowie opuszczają katedrę na Wawelu po uroczystem nabożeństwie.
(Fot. Pierzchalski, Kraków).

naczelnicy władz i urzędów, oraz liczne grono osób, zaproszonych z najwybitniejszych sfer społeczeństwa.

Z uderzeniem godz. 12 zgromadzili się uczestnicy w wielkiej sali Muzeum pod obrazem Matejki „Kościuszko pod Racławicami", gdzie imieniem Komitetu wystawy, prezes, dr. J. Muczkowski, wygłosił przemówienie, zamykając w niem pogląd na historyę wystawy i jej artystyczne i historyczne znaczenie. W zakończeniu mowca złożył podziękowanie wszystkim osobistościom, które użyczeniem dzieł sztuki, zabytków i pamiątek przyczyniły się do jej uświetnienia.

Po przemówieniu dr. Muczkowskiego i na jego zaproszenie, główny organizator wystawy, prof. Jerzy Mycielski, oprowadził obecnych po wystawie, udzielając szczegółowych i fachowych objaśnień.

Wystawa przedstawia się w całości okazale, świadcząc chlubnie o zapobiegliwości pracy Komitetu; który w niedługim stosunkowo czasie zdołał zgromadzić tak znaczną ilość okazów, że wypełniły one całkowicie cztery sale muzealne na prawo od głównego wejścia.

Wieczorem pospieszono tłumnie do Teatru miejskiego na uroczysty wieczór. Słowo wstępne wygłosił prof. M. Straszewski, resztę zaś programu wypełniły deklamacye zbiorowe, pod kierunkiem p. Anny Leo Rose z Warszawy, silnie wygłoszony przez p. Pytlińską „Pogrzeb Kościuszki" Ujejskiego, chóry, orkiestra. Ogólną uwagę zwróciła symfonia p. Swierzyńskiego do słów zastosowanych do chwili. Po intesującym odczycie prof. Grabowskiego nastąpiła Apoteoza; przy popiersiu Kościuszki stanęli na warcie dwaj włościanie z kosami i dwaj Legioniści, a chór odśpiewał znany polonez „Patrz Kościuszko na nas z nieba".

Wszystkie ustępy programu były przyjmowane z zapałem przez publiczność, która opuszczała teatr w podniosłym nastroju.

W niedzielę od samego rana zapanował w mieście ruch niezwykły. Tysiące ludzi spieszyły w stronę

Kraków Kościuszce: Z wystawy Kościuszkowskiej w Sukiennicach Kościuszko po bitwie pod Maciejowicami — współczesny obraz szkoły angielskiej.
(Fot. Pierzchalski, Kraków).

Wawelu, skąd po uroczystem nabożeństwie miał wyruszyć pochód na Rynek krakowski.

Do katedry wchodziły tylko deputacye i zaproszeni goście. Porządku, tak przy wejściu do katedry, jak wewnątrz świątyni, pilnowali krakowscy skauci. Wewnątrz świątyni zajęły miejsca cechy krakowskie, w lewej nawie stanął oddział kosynierów w białych sukmanach z czerwonemi „potrzebami“, pod dowództwem p. Franciszka Ptaka z Bieńczyc. Wśród kosynierów był prawnuk Bartosza Głowackiego po kądzieli, Kasper Rokosz z Rzędowic, który na uroczystość przybył z rodziną. Nawy świątyni wypełnił przeważnie lud wiejski, gospodarze w ludowych strojach, kobiety i dziewczęta, oraz młode pokolenie, dzieci wiejskie, reprezentanci różnych stowarzyszeń i instytucyi.

Po godzinie 10 rozpoczęło się nabożeństwo przed wielkim ołtarzem. Odprawił je książę-biskup Sapieha w asystencyi ks. prałata dra Wądolnego, jako archidyakona i ks. kan. Nikla i Podwina, jako dyakonów, przy udziale duchowieństwa katedralnego i seminaryum dyecezyalnego.

Po św. Ewangelii wszedł na kazalnicę ks. kanonik dr Caputa, nawołując gorącemi słowy do wierności ideałom Kościuszki. „Kościuszko powołał do obrony ojczyzny wszystkie stany; dzisiaj wśród wielkiej wojny podniosło się hasło, któremu służył: że wszystkie narody mają prawo do wolności i do stanowienia o sobie. W tej chwili przed nami wolność i swoboda; od nas przedewszystkiem zależy jej zdobycie“. Zwracając się do ludu krakowskiego, wzywał go, by wobec Boga ślubował miłość matce ojczyźnie, a ona odda to stokrotnie. „Gdy spełnicie przysięgę — zakończył — ujrzycie cud na ziemi: wolną Polskę“.

Kraków Kościuszce: Fragment z wystawy Kościuszkowskiej w Sukiennicach. W środku biurko Kościuszki (Fot. Pierzchalski, Kraków).

Kraków Kościuszce: Kosynierzy w pochodzie na Wawelu, z posłem Ptakiem na czele. (Fot. Pierzchalski, Kraków)

W czasie nabożeństwa odbyła się składka na rzecz Litwy. Chór katedralny pod kiernnkiem prof. Deca odśpiewał w czasie nabożeństwa Mszę ks. Grabowskiego; na *Graduale* pieśń konfederatów barskich: „Bądź pozdrowiona Panienko Marya“, na *Offertorium* pieśń błagalną do słów ks. Tomasza Jeża z muzyką prof. Walentego Deca. Nabożeństwo zakończyła pieśń „Boże coś Polskę“, odśpiewana przy dźwiękach „Zygmunta“.

Po nabożeństwie, które skończyło się po godzinie 12, rozległa się na dziedzińcu Wawelu komenda „Baczność!“ Zwarte grupy poczęły krok za krokiem posuwać się naprzód ku placowi Bernardyńskiemu. Tak droga z Wawelu, jak plac Bernardyński, przepełnione były publicznością, a całe zbocze góry wawelskiej od strony placu aż po mury, zasiane widzami, chcącymi oglądać niezwykle barwną całość pochodu na tle zamkowej architektury, jesiennego, pogodnego nieba i krajobrazu Krakowa.

Pierwsza ruszyła się straż pożarna; dalej młodzież szkół średnich Krakowa i Podgórza z orkiestrami; potem banderya z kilkudziesięciu koni, prowadzona przez p. Bogackiego. Za nią w długim korowodzie zakłady wychowawcze, szkoły młodzieży rękodzielniczej, stowarzyszenia, związki, towarzystwa i kluby zawodowe, młodzież żeńska wszystkich zakładów naukowych w mieście, jak również akademia handlowa, szkoła przemysłowa i stowarzyszenia akademickie. W innej grupie przedstawiciele zarządu głównego T. S. L., młodzież szkół, utrzymywanych przez to Towarzystwo, reprezentanci krajowego Związku nauczycielstwa ludowego, Ogniska nauczycielskiego, Uniwersytetu ludowego, Sodalicyi maryańskich, Stow. Rad opiekuńczych, Związku turystycznego, Towarzystwa tatrzańskiego, Tow. dziennikarzy polskich, Koła artystyczno-literackiego oraz Klubu prawników, reprezentacya obu teatrów miejskich, delegacya Sokołów, wreszcie weterani z roku 1863, legioniści i większa ilość kosynierów, prowadzona przez p. Ptaka. Grupa ta przez całą drogę była najwięcej oklaskiwana przez publiczność. W wielkiej liczbie przybyli włościanie i reprezentanci Rad gminnych z okolic Krakowa, oraz delegacye Kółek rolniczych z różnych miejscowości. Postępowały następnie delegacye Izb lekarskiej, adwokackiej, notaryalnej, budowniczych, handlowej, rękodzielniczej, Tow. rolniczego krakowskiego, Tow. wzajemnych ubezbieczeń, Tow. strzeleckiego, Koła mieszczańskiego, goście z innych dzielnic Polski, oraz reprezentanci instytucyi finansowych i Rady wyznaniowej izraelickiej.

W ostatniej grupie szły cechy krakowskie z chorągwiami, posłowie do Rady państwa i Sejmu, profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego, reprezentanci Akademii Umiejętności, duchowieństwa i t. d.

Pochód posuwał się zwolna ulicą Grodzką wśród masy publiczności, dźwięku orkiestr i oklasków, wśród przystrojonych dywanami i draperyami okien, przepełnionych od najniższych do najwyższych piętr. Wiele grup niosło wieńce i portrety Naczelnika.

Grupy, doszedłszy na Rynek, do miejsca, na którem stanąć ma pomnik Kościuszki, ustawiać się poczęły w jego pobliżu, na tle Sukiennic.

Między Sukiennicami a ulicą Szewską, wmurowano w asfaltowy chodnik kamień piaskowy z Racławic, z napisem 15/10 1817 i 15/10 1917. Kamień otoczono dużym wieńcem, uwitym z gałązek świerkowych, a na czterech dużych masztach powiewały cztery chorągwie o barwach narodowych.

Przed dwunastą przybył ks. arcybiskup Symon w szatach pontyfikalnych w infule na głowie, poprzedzony przez bractwo i duchowieństwo Maryackiego kościoła. Niebawem od Linii A—B pojawiły się pierwsze grupy pochodu i kolejno, przy dźwiękach orkiestr i śpiewie pieśni narodowych, ustawiały się w ogromny czworobok około kamienia. Czworobok pokrył całą zachodnią część Rynku. Ponad tysiącami ludzi wznosiły się barwne sztandary i chorągwie. Co chwila orkiestry na przemian grały pieśni narodowe i śpiewali je kolejno tysiączni uczestnicy obchodu.

Tuż przy kamieniu od strony Sukienic stanęły delegacye ze sztandarami; z obydwóch stron mieszczaństwo z chorągwiami cechowemi i Towarzystwo strzeleckie z insygniami; senat *Almae matris*, otoczony pedelami z berłami rektorskiemi i dziekańskiemi, pamiętającemi świetne czasy Rzeczypospolitej; obok senatu uniwersyteckiego grono dziewcząt wiejskich z Zastowa, Bronowic, Mogiły, Dojazdowa, Zielonek, w krasnych, nabijanych gorsetach, z wieńcami z polnych kwiatów. Naprzeciw, obok duchowieństwa i ks. arcybiskupa Symona, w polskich strojach przedstawiciele kraju: marszałek Niezabitowski, Wydział krajowy, reprezentanci Akademii Umiejętności, Rada m. Krakowa, N. K. N., oficerowie Legionów, prezesowie Rad powiatowych, przedstawiciele Towarzystw rolniczych, oddział kosynierów w białych sukmanach, straże pożarne, młodzież szkolna, obywatelstwo krakowskie, lud wiejski. Dziesiątki tysięcy zapełniały Rynek. Konna banderya 50 Krakusów stanowiła ramy ogromnego zebrania i zespolenia wszystkich stanów. Śliczna, słoneczna pogoda sprzyjała uroczystości.

Kraków Kościuszce: Delegacya oficerów legionowych przed katedrą

Zaczęło się od pieśni „Boże Ojcze", odśpiewanej zbiorowo. Ks. arcybiskup Symon odmówił modlitwy kościelne i pobłogosławił kamień węgielny pod pomnik, w krótkiem przemówieniu dając wyraz swej radości, że danem mu było dopełnić tego pamiątkowego aktu.

Po odśpiewaniu pieśni „Boże coś Polskę" pierwsze przemówienie wygłosił z trybuny wiceprezydent J. K. Federowicz. Następnie przemawiali imieniem mieszczaństwa krakowskiego prezes Koła mieszczańskiego, p. Piotr Kosobucki, a imieniem włościan pos. Józef Serczyk, który między innemi powiedział:

„W powstaniu Kościuszkowskiem lud krakowski dał dowód męstwa, dał świadectwo, że umie na równi z innymi stanami walczyć za wolność i ojczyznę. Polska była naszą, jest naszą i będzie naszą, o ten najdroższy skarb dla każdego Polaka nie przestaniemy się upominać. Dziś, w chwili, kiedy Polska budzi się w jutrzni zmartwychwstania, niechże cały naród polski pracuje nad tem odrodzeniem, a wtedy doczekamy się wolnej, zjednoczonej i niepodległej Polski".

Na zakończenie zebrani odśpiewali pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła", a następnie skauci rotę Maryi Konopnickiej. Na tem uroczystość zakończono.

Pochodowi i całej uroczystości na Rynku przypatrywały się z balkonów i okien tłumy osób. Przebieg uroczystości był imponujący i odbył się w największym porządku, wśród świątecznej powagi.

Dalszym ciągiem uroczystości Kościuszkowskich był pochód na mogiłę Kościuszki. Przy pięknej pogodzie wielu uczestników pochodu, szczególnie włościan zebrało się przed Sokołem, skąd wyruszono na Kopiec.

W oba popołudnia, tak w sobotę, jak i w niedzielę wystawił Teatr miejski „Kościuszkę pod Racławicami" Anczyca. Widownia na obu przedstawieniach była przepełnioną, zwłaszcza ludnością włościańską, która gorąco oklaskiwała poszczególne sceny. Również i Teatr ludowy przygotował swój program do podniosłej chwili, dając „Przekupkę warszawską" i „Obronę Częstochowy".

Miejscowe dzienniki wydały wspaniałe numery pamiątkowe, poświęcone pamięci bohatera narodowego, wyszedł też cały szereg innych aktualnych publikacyi.

Przez oba dni przeprowadzono w mieście zbiórkę uliczną na „Dar Kościuszkowski", przeznaczony na rzecz „Głodnej Litwy", ojczyzny Naczelnika.

Kraków Kościuszce: Delegacye Kółek rolniczych na Wawelu. (Fot. Pierzchalski, Kraków).

Kraków Kościuszce: Po nabożeństwie w katedrze.

Kraków Kościuszce: Fragment z pochodu na Rynku.

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

20

— Ale ja nie jestem Adwentowiczem i pewnie nie będę tak szczęśliwy...

— No, niechże pan zadeklamuje, kiedy proszę... — przymilała się Józia, spoglądając Łuniewskiemu słodko w oczy.

Wytrzymał jej spojrzenie. Nie drgnął mu nawet muszkuł na twarzy.

— Kiedy mi nic nie przychodzi na myśl...

— Blaguje pan!...

— A nie będzie się pani gniewała, cokolwiek powiem?

— Nie.

— Więc przypomniałem sobie jeden stary wierszyk, ale powiem tylko pierwszą zwrotkę...

— Dlaczego tylko pierwszą?

— Bo tak...

— O! Jaki pan przekorny, a miał pan już nigdy nie być niedobry!... No, proszę już deklamować...

Łuniewski zdjął kapelusz, przegarnął palcami swoje gęste, ciemno-blond włosy i z lekkim uśmiechem na ustach, wyrecytował:

„Przy warkoczu kwiat z ogródka,
Sukieneczka w modre paski,
Jestem sobie bałamutka,
Bałamutka z Bożej łaski"...

— No, a co dalej?

— Dalej nic ciekawego.

— Aha! To niby miało być do mnie! — roześmiała się i spojrzała na swoją sukienkę — ale te paski, to już nie są modre, bo zupełnie wypłowiały... A bałamutką, to ja tam byłam kiedyś, ale teraz, to już nie jestem. O! Wcale nie...

— Ani trochę?...

— No tak, może odrobinę, odrobineczkę czasem, ale to tylko przez swawolę...

I jakby już zupełnie zapominając o niedawnych łzach i rozdrażnieniu, zanuciła:

„On mnie pytał, co ja wolę,
Czy łzy jego, czy z nim żyć,
Jam mu rzekła przez swawolę:
Z dwojga złego wolę nic"...

— Wie pani, jaki mi teraz, patrząc na panią i słuchając pani, przyszedł wiersz do głowy?

— No?...

— Dwuwiersz Jana Kochanowskiego: „Gdziekolwiek stąpi, wdzięczność ją sprawuje i wszędy niewidoma za nią postępuje"...

Nastała między nimi znowu cisza, ale nie kłopotliwa... Miła jakaś, pełna milczącego porozumienia.

Józia rzuciła mu znowu jedno ze swoich słodkich spojrzeń.

— Dziękuję za komplement... bo bardzo, bardzo ładny..

Powietrze ochłodziło się. Zerwał się wiatr z początku lekki, potem coraz silniejszy.

Na niebie białe chmurki zbijały się w gęste białe chmury i ciemniały.

Duszno było, parno, jak zwykle przed burzą.

— Ta kobieta miała rację — powiedziała Józia — będzie deszcz, a może i burza... Spieszmy się...

— Już dochodzimy do wsi...

Wyraźnie bielała już szeroka droga gościńca, ujęta z obu stron w ramy gęsto rozsypanych chat i zabudowań gospodarskich.

Szczerniałe, słomiane poszycia mieszały się z jaskrawą czerwienią dachówki, którą były kryte nowsze domy.

Niektóre budynki świeciły białością drzewa, jeszcze nie pobielonego. Tu i ówdzie widniały czarne, smutne zgliszcza, tu i ówdzie z osmalonych gruzów posępnie spoglądał ku niebu komin, z którego dym nie uchodził.

Były to niezatarte jeszcze ślady wojny, która przeszła tędy. Były, jak niezabliźnione rany na żywem, zdrowem, tętniącem ciele...

Na horyzoncie ciemniał pas lasów, które zdala wydawały się granatowe.

Józia wskazała ręką w kierunku tych lasów, zamykających krajobraz.

— Jakie te oczy nasze niedołężne — powiedziała — nie mogą zobaczyć, co się tam dzieje za lasem...

— Proszę pani, nie warto dzisiaj wzroku i myśli posłać daleko... Bo co się zobaczy?... Krew, mord i gruzy...

— Prawda... — szepnęła — a jednak jabym chciała mieć wzrok, co sięga daleko i poza ten las i skrzydła...

— I gdzieżby pani leciała?... Pewnie do jakiegoś cudnego kraju z bajki, gdzie dużo słońca i kwiatów i gdzie niema wojny... Czy tak, pani Józiu?...

Uśmiechnęła się łagodnie i przecząco potrząsnęła głową:

— O! Nie, tak znów daleko nie biegną moje marzenia... Pyta się pan, gdziebym lecieć chciała?

Milczała przez chwilę, a marzycielski uśmiech błądził po jej ustach.

I jakby odpowiadając na pytanie, zanuciła smętną, ludową melodyę:

„Gdybym ci ja miała
Skrzydełka, jak gąska,
Poleciałaby ja
Za Jaśkiem do Śląska.

Usiadłabym ci ja
Na śląskowskim płocie...
Przypatrz się, Jasieńku,
Ubogiej sierocie"...

Urwała i zapatrzyła się przed siebie.

— Szczerze mówiąc — zaczęła po chwili — to leciałabym na skrzydłach tam, gdzie jest Konrad...

Rumieniec nagły, krwisty, zabarwił twarz Łuniewskiego.

— To istotnie marzenia pani nie biegną daleko, bo tylko do jakiejś mieściny węgierskiej — powiedział tonem, który przypominał trochę warknięcie podrażnionego psa.

— A jednak jakże trudne są, a nawet niepodobne do urzeczywistnienia...

— Dlaczego?... Poprostu wsiąść do pociągu i jechać...

Wypowiedział tę radę z jakąś zatwardziałą złością, ale jednocześnie poczuł, że lodowaty chłód rozlewa mu się po żyłach na myśl, iż ona rzeczywiście mogłaby wsiąść do pociągu i odjechać.

Józia spojrzała na niego na pół smutnie, na pół z zabawną frasobliwością.

— A paszport gdzie?... I pieniądze?...

— No i pozwolenie od mamy... — dorzucił złośliwie.

— A tak, i to także. — przyznała prosto — A! To i mamy gościniec, tylko trzeba przejść potok, a jak widzę, jest tu ten mostek, „co go niema"...

— Przeniosę panią. — zaproponował.

— Także coś!... Woda płytka, a niby to nie umiem po kamieniach skakać!... Lepiej niech pan na swoje amerykany uważa!...

Cisnąc kwiaty jedną ręką do piersi, jęła lekko i zwinnie przeskakiwać po kamieniach.

Uchwyciwszy się wolną ręką za zwieszającą się nad wodą gałąź, w jednej chwili wdrapała się na niewysoki, ale stromy brzeg.

Kiedy znalazła się już na górze, z uśmiechem przyglądała się, jak Łuniewski dość niezgrabnie balansuje po ostrych kamykach.

— Aha — zawołała przekornie — mnie pan chciał przenosić, a ledwie samego siebie pan przeniesie!...

Tak go poirytowała ta jej uwaga, że jednym susem przesadził całą dzielącą ich przestrzeń.

Gałąź zerwała mu z głowy kapelusz, który byłby spadł do wody, gdyby go młody człowiek w porę nie uchwycił.

Józia zanosiła się od śmiechu.

— A to się pan rozpędził! Już myślałam, że się pan wykopyrtnie do wody!...

— I cieszyła się pani z góry, co?...

— E! Cóżbym się miała znowu cieszyć, ale, co prawda, to byłby paradny widok!... Taki elegancki pan do góry nogami w rowie!...

Sam musiał się roześmiać, porwany jej swawolną minką.

— Co też za dzieciak z pani!...

— O! Nie... Wcale nie jestem już dzieckiem! Wcale!... — energicznie potrząsnęła głową, tak, że aż jej niesforne, naturalnie wijące się loczki fruwały koło twarzy.

— Naturalnie, taka poważna, stateczna, doświadczona osoba... — przekomarzał się Julian.

— Ej! Co pan wie... — ciemne brwi Józi ściągnęły się w ten sposób, że cała twarz nabrała wyrazu chmurnego zasępienia.

Znać było po niej w tej chwili, że te jasne oczy musiały już nieraz spoglądać w ciemne otchłanie życia.

Krótko to jednak trwało. Józia uśmiechnęła się zaraz słodko, dziecięco i prześlicznym ruchem przytuliła policzek oo trzymanych w ręku niezapominajek...

— Moje gwiazdeczki błękitne... takie śliczne

— Wygląda pani, jak ich siostra...

Nie odpowiedziała mu nic. Zdawało się, że nawet nie dosłyszała.

— Co się jej teraz po głowie roi?... — pomyślał — To tylko pewne, że ona tej słoneczności swojej nie zaczerpnęła z warunków życia... To w niej samej jest jakieś przedziwne źródło jasności... Co jej się teraz roi?... Pewnie myśli o tem, kiedy wróci mąż. — zadrwił złośliwy dyablik w mózgu Łuniewskiego.

Józia podniosła głowę z nad kwiatów i spojrzała na niebo. Gromadziło się coraz więcej czarno-rudawych chmur.

— Chodźmy już, chodźmy prędko — powiedziała — bo gotów nas rzeczywiście złapać w drodze deszcz...

— Jeszcze nie będzie tak zaraz deszczu... Nie mamy się czego spieszyć... Napijemy się naprzód kwaśnego mleka... Mnie się chce strasznie pić, a pani pewnie także...

Józia rzeczywiście miała ochotę napić się chłodnego mleka, bo gardło jej wyschło od upału.

Zatrwożyła ją jednak możliwość spóźnienia.

— Ale to się późno zrobi.

— Już się pani zaczyna bać świekry... E! Pani Józiu, wstyd doprawdy!... Trochę więcej energii...

— Łatwo to panu mówić...

— Idziemy na mleko, proszę pani.

— Nie, nie...

Przypomniała sobie, że nie ma wcale pieniędzy.

— Dlaczego pani nie chce?... Ja pani po twarzy zgaduję, że pani pochleptałaby sobie chętnie mleczka, jak kotek...

— Kiedy nie mogę.

— Ależ dlaczego?

— No, bo nie mogę.

Domyślił się nagle, o co jej chodzi.

— Aha! Pani nie wzięła ze sobą woreczka z pieniądzmi... Ależ to przecie drobnostka... Odda mi pani przy sposobności. — zapewniał, chcąc pokonać jej wzdraganie.

— Widzi pani, o! Jaka tu ładna, czyściutko bielona chata z ogródkiem... Napewne musi w niej mieszkać gościnna gospodyni... Wstąpmy.

Józia wahająco przez chwilę spoglądała na czysto wymyte okna chaty i równiutkie grządki pod oknami.

Żółty pies, uwiązany na łańcuchu, zaczął szczekać.

— Ano, to wstąpmy...

Pies ujadał coraz zawzięciej, ale Józia śmiało podbiegła ku niemu i zaczęła głaskać skudłaczony łeb zwierzęcia...

Pies, jakby przejednany tą pieszczotą, ucichł, wspiął się na łapy i liznął językiem ręce młodej kobiety.

— Co pani robi? Toż to jest zły, łańcuchowy kundel!...

— Ja się nie boję. Bardzo miła ciućka.

Tymczasem, zwabiona szczekaniem psa, wyjrzała z chaty gospodyni. Kobieta sucha, drobna, zwiędła — ale o ruchach dziwnie sprężystych. W twarzy, niestarej jeszcze, ale już pokreślonej sieciami zmarszczek zwracały uwagę oczy bystro patrzące i tak modre, jak bławatki w zbożu.

— Ale to panienka śmiała do psa. — odezwała się — A mój Milek to na obcego człowieka zawzięty...

— Mnie nie ugryzie... O! Widzicie, gosposiu, jak się łasi. Milek, Miluś, dobry pies, dobry!...

— Musi czuje dobrego człeka...

Kobieta spojrzała na Józię życzliwie. Snać to łagodne zachowanie się psa napawało ją zaufaniem.

— Moja gosposiu — rzekł Łuniewski — nie dostalibyśmy u was, ja i moja siostra, kwaśnego mleka?...

— Czemu nie? Jest mleko. To panienka panowa siostra?

— A tak. — i Łuniewski spojrzał porozumiewawczo na Józię.

— Wynieść tu państwu może przed chałupę... Ale, widzi mi się, będzie składniej wejść do izby, bo burza idzie i to sielno...

Nie skończyła jeszcze, kiedy już błyskawica błękitnem światłem rozdarła czarne chmury.

Wiatr zadął silniej, a jednocześnie zaczęły spadać pierwsze grube krople deszczu.

— Muszą państwo burzę przeczekać... Proszę tutaj do izdebki...
— Niech będzie pochwalony! — powiedziała Józia, przestępując próg.
— Na wieki wieków. Amen. Niech państwo zaczeka chwilusię, zaraz będzie mleko...
Gospodyni znikła, a Łuniewski szepnął Józi:
— Musimy sobie przynajmniej mówić: ty, jak przystało na brata i siostrę...
Józia skinęła głową, trochę rozbawiona i trochę zakłopotana tą rolą „siostry"...
Łuniewski ciekawie rozejrzał się po izbie, która nie różniła się niczem specyalnem od wielu podobnych izb chłopskich.
Nie miała podłogi, tylko ubite, starannie zamiecione klepisko. Dwa łóżka z żółtego drzewa zasłane były wysoko poduszkami i pierzynami w pasiastych poszwach.
Ściany zawieszone były obrazami świętych o krzyczących, jaskrawych barwach.
Ścienny zegar z malowanemi różami tykał głośno.
Na oknach zieleniły się mirty i kwitły pelargonie.
Pachniało tu porządkiem i czystością, świadczącą o pracowitej, zapobiegliwej gospodyni...
Musiała też zwrócić uwagę spora ilość książek ułożonych starannie na pułce, zbitej z prostych sosnowych desek.
Józia zdjęła kapelusz i położyła go wraz z kwiatami na skrzyni.
Przygładziła trochę włosy i usiadła na ławie.
Łuniewski tymczasem przyglądał się obrazom i uśmiechał się lekko.
— To charakterystyczne, że prawie wszystkie obrazy mają podpisy niemieckie... — powiedział — Ale skąd oni to wzięli?...
Wskazał na krzyż misternie wyrobiony z weneckiej mozaiki.
— Skąd macie ten krzyż gosposiu? — zapytał gospodynię, która w tej chwili weszła do izby niosąc garnek z mlekiem, dwa talerze, dwie łyżki blaszane i połówkę razowego chleba.
— A to mój przywiózł z „Wenedyku"...
— A cóż wasz mąż tam robił?...
— A za robotą jeździł, jako, że on z zawodu jest ślusarz...
— A teraz gdzie jest, w domu?...
— Ale w domu ta! — odpowiedziała, stawiając mleko i talerze na stole — Gdzieby miał być, na wojnie!...
— I żyje? Pisze?
— Dzięka Bogu, jeszcze go ta Matka Boska ochrania. Niechże se państwo przyje chlebusia do tego mleka... Dawniej to ta miastowi takim czornym chlebem pogardzali, ale tera Pan Bóg odmienił... Żeby ino tego czornego nie zbrakło.
Westchnęła jakoś ciężko i wysunęła się z izby.
— O! Jak pan niezdarnie kraje chleb!... — zawołała wesoło Józia — Niechże pan zaczeka, to już panu sama kromkę ukraję i mleka naleję...
— Bratu nie mówi się „panie" — upomniał ją cicho.
Powieki lekko przymrużył i śledził zachłannem spojrzeniem zwinne ruchy młodej kobiety i harmonijne linie jej gibkiego ciała.
— Nie, nie chcę takiego brata...
— Dlaczego?...
Józia komicznie zmarszczyła swój zgrabny nosek.
— Bo pan taki zdatny na mojego brata, jak na chińskiego cesarza... — wypaliła.
— Przedewszystkiem ośmielę się zwrócić uwagę, że Chiny są obecnie republiką, a powtóre skądże takie przekonanie?
— Już ja mam „czuja". — odpowiedziała śmiejąc się i zatapiając zęby w skibce chleba.
Łuniewski musiał przyznać w duchu, że Józia ma istotnie dobrego „czuja".
— Nie możemy się kompromitować przed gospodynią. — zauważył.
— E! Ona ma robotę i napewne nas nie podsłuchuje... Niechże pan je. Może panu nie smakuje?
— Ależ smakuje mi ogromnie...
— Bo mnie to już dawno nic tak nie smakowało... Pyszne mleko!... Jaka śmietana!...
Rzeczywiście, dawno już nie zajadała z takim szczerym, zdrowym apetytem.
W domu wzrok świekry, miny Loli i uśmieszki ironiczne służącej odbierały młodej kobiecie ochotę do jedzenia...
— A możebyśmy tak jedli po chłopsku z jednej miski? — proponował Julian, przysuwając się bliżej ku swojej towarzyszce.
— Ale!... — odrzuciła z andrusowskim akcentem — Czego to się nie zachciewa!... Co to, to już nie!... Jeszczeby mnie pan odjadł!...
— Będę jadł jak mały ptaszek!
— Nie wierzę! Pan jest egoista!...
— Nie prawda!... Kto to pani tak powiedział?...
— Już ja to sama wiem!...
To sam na sam w zacisznej izbie chłopskiej wytworzyło w nich jakieś dobre miłe usposobienie.
Mieli humor jak dzieci i co chwila wybuchali śmiechem bez wyraźnego powodu.
Siedzieli teraz na ławie tak blisko siebie, że ramię Józi stykało się z jedwabnym rękawem marynarki Łuniewskiego.
Mężczyźnie dziwnie złagodniała twarz i usta ułożyły mu się do serdecznego, ciepłego uśmiechu.
Kobiecie wykwitły na policzkach świeże rumieńce, a w turkusowych oczach paliły się swawolne, figlarne ogniki.
A za oknem na dobre rozszalała się burza.

— — — — — — — — — — —

Józia skończyła jeść, odsunęła talerz i obtarła mlekiem ubielone usta.
Spojrzała w okno.
— Ależ burza!...
Głuche dudnienie grzmotów wstrząsało powietrzem. Błyskawice co kilka minut rozświetlały izbę. Deszcz nie padał już kroplami, lecz lał strugami.
Józia wstała, podeszła do okna i odsunąwszy gałązki wysokiego mirtu, patrzyła na sad, targany nawałnicą wiatru i deszczu.
Nagle rozległ się przeraźliwy, ogłuszający huk — aż zadrżała chałupa i zadzwoniły szyby.
— Jezusie Maryjo!... Wszyscy Święci Pańscy miejcie nas w opiece!... — wrzasnął w sieni jakiś piskliwy głos kobiecy.
— Piorun gdzieś blisko uderzył! — zawołała Józia.
Przybladła trochę i mimowolnie cofnęła się dalej od okna.
Łuniewski, który stał za nią, wyciągnął ramię, jakby ją chciał niem otoczyć. Powstrzymał się jednak w porę i tylko delikatnie dotknął ręki Józinej.
— Boi się dziecko burzy? — zapytał miękko.
— Jak czasem... To zależy od mojego usposobienia...
— A teraz?
Podniosła na niego oczy, które w tej chwili bardziej, niż kiedykolwiek, przypominały podania o uroczych, zwodniczych rusałkach.
— Teraz nie boję się...
— No to dobrze. Niech sobie tam deszcz pada i pioruny biją, nam tutaj ciepło i bezpiecznie...
— Kto wie... — szepnęła Józia, jakby sama do siebie.
— Co pani powiedziała?... Bo nie dosłyszałem...
— Ach!... Nic... nic...
— Proszę siąść grzecznie, to będziemy sobie gwarzyli...
— A o czem? — zapytała Józia, siadając znowu na ławie.
— O czem tylko mała kobietka chce...
— Ja wcale nie jestem mała!... O, jestem panu więcej niż po ramię, a pan jest przecież wysoki...
— Więc niech będzie duża kobietka...
— I nie żadna kobietka...
— Tylko poważna, pełna godności dama... już wiem... Więc o czem ta dama chce mówić?
— Niech mi pan opowie bajkę... Strasznie lubiłam słuchać bajek, kiedy byłam dzieckiem... Ale nie miał mi kto ich opowiadać...
— I ja nie umiem opowiadać bajek...
— Szkoda...
— Chyba, że pani chce posłuchać bajki o... miłości...
W głosie mężczyzny zadrgały tak gorące tony, że Józia nagle spojrzała na niego trochę z wysoka.
— Dziękuję — powiedziała chłodno — taką bajkę, to już mi opowie kto inny...
Julianowi gniew zamigotał błyskawicą na twarzy. Zdławił go jednak w sobie i nic Józi nie odpowiedział.
Zapanowała chwila przykrego milczenia. Nie trwało to wszakże długo, bo Łuniewski, opanowawszy się zupełnie, zapytał z obojętną miną światowca, który prowadzi towarzyską rozmowę:
— Czy pani była kiedy w Wenecyi?
— Nie. A skąd panu przyszło do głowy to pytanie?
— Popatrzyłem się na ten krzyż mozaikowy i przypomniało mi się... Ale oczywiście słyszała pani i czytała dużo o tej „królowej Adryatyku".
— Naturalnie... laguny... gondole... plac św. Marka... pałac Dożów... gołębie... — recytowała tonem wyuczonej lekcyi.
— Ech! Co tam wszelkie opisy!... — machnął lekceważąco ręką — tomy czytałem o Wenecyi przed moją pierwszą podróżą do Włoch, a jednak kiedy się znalazłem przed dworcem, to otworzyłem szeroko oczy i usta i zgłupiałem z podziwu...
— Doprawdy? Tam tak pięknie?... — pytała Józia zaciekawiona. — Niech pan mi coś o Wenecyi opowie...
Łuniewski powinszował sobie, że wszczął ten temat. Oczy Józi straciły chłodne, stalowe połyski, a zaświeciła w nich ciekawość dziecka.
— Więc to jest miasto na wodzie, na morzu?... I jak to wygląda?...
Zaczął opowiadać... Rozsnuwał przed nią obrazy koronkowych pałaców weneckich, kościołów o tajemniczych wnętrzach... Porywał jej wyobraźnię wizją lazurowego morza w kąpieli złotych promieni słonecznych...
Mówił o gondolach, które ciche i czarne, jak trumny, suną po fali jasnej, błękitnej i wiozą pary zakochanych...
Józia siedziała cichutko i słuchała, jak się słucha pięknej bajki... Głowę wsparła na dłoniach i starała się w myśli odtworzyć to, co jej Łuniewski malował słowami.
Zapomniała o burzy i o tem, że wskazówka na zegarze posuwała się ciągle...
Raz tylko szepnęła:
— Ach! Jakie to musi być piękne...
Opowiedział jej jeszcze podanie o okrutnej dogaressie Flawii i historyę nieszczęśliwego Marino Falieri.
— Chciałabym pojechać do Wenecyi... — powiedziała Józia rozmarzona, kiedy skończył.
— Teraz niepodobna, bo wojna...
W tej chwili drzwi uchyliły się i gospodyni zajrzała do izby.
Zajęci rozmową, nie spostrzegli jej. Drzwi przymknęły się znowu.
— Ach! Ta wojna... ta wojna!...
— Wojna się skończy i pani pojedzie... — ciągnął dalej, zapominając o istnieniu Konrada Żarnickiego...
Upojony był własnem marzeniem.
— Ubierze się pani i uczesze tak, jak się ubierają weneckie dziewczęta... Włosy upięte wysoko, w nich cudne weneckie szpilki... Na szyi kolorowe paciorki... Cała owinie się pani koronkowym, czarnym szalem... Pójdziemy na plac Marka karmić gołębie... A wieczorem popłyniemy gondolą...
Józia z początku słuchała z uśmiechem rozmarzenia. Podobał się jej ten obraz. Wyobrażała sobie, jakby to wyglądała w weneckim stroju, otoczona chmurą śnieżno-białych gołębi.
Ale te „pójdziemy", „popłyniemy", które wyrwały się Łuniewskiemu prawie bezwiednie — otrzeźwiły ją.
— Kto? My? — wtrąciła. — Ach! Pan pewnie miał na myśli mnie i Konrada... Tak... Jak Konrad wróci, to może tam pojedziemy...
Łuniewski zachłysnął się śliną. Chluśnięcie zimną wodą było silne.
Bajka przerwana brutalnie...
Spojrzał na Józię oczyma, w których przezierała twardość uporu i migotał błysk jakiegoś okrucieństwa.
Ale młoda kobieta nie na niego patrzyła, tylko na zegar, który wskazywał dwadzieścia minut po szóstej.
— Rany Boskie!... Tak późno!... — krzyknęła, zerwała się z ławy i chwyciła za swój kapelusz.
— Ależ, proszę pani, deszcz leje, jak z cebra!... Proszę spojrzeć w okno!...
Burza uspokoiła się już, ale deszcz rozpadał się na dobre. Potoki wody spływały na ziemię, tak bardzo dżdżu spragnioną.
Ale Józię obecnie nic to nie obchodziło, że zasiewy potrzebują deszczu.
Spojrzała w sad, otulony powłoką beznadziejnej szarzyzny i z rozpaczą załamała ręce.
— Boże mój!... Taka ulewa!... Wszystko jedno, ja i tak idę!...
— Pani Józiu, to szaleństwo!...
— Jak się pan boi zmoknąć, to niech pan zostanie! Ja idę.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Uzupełniające kursy dla nauczycielstwa ludowego w Królestwie Polskiem.

W miarę, jak życie na terenie okupowanym w Królestwie Polskiem przez wojska austro-węgierskie, wraca powoli na normalne tory, rozwija się też coraz pomyślniej i szkolnictwo. Ma ono wprawdzie nieraz do walczenia z licznemi trudnościami, ale pokonuje je wytrwale, a sumienna praca nauczycielstwa zyskuje sobie coraz większe uznanie, zwłaszcza ludności miejscowej, wychowywanej dotąd w ucisku i zacofaniu, nie znającej też dobrodziejstw jakie płyną z oświaty.

Kierownictwo spraw, dotyczących szkolnictwa w Królestwie Polskiem, stara się też o to, by szkoła, zwłaszcza ludowa, rozszerzyła swój zakres działania i zamiast prowadzenia monotonnej i mechanicznej nauki, ograniczającej się częstokroć tylko na pisaniu i czytaniu, weszła na tory bardziej praktyczne.

Dokłada się też wszelkich starań, by pomnożyć liczbę szkół i przygotować nauczycielstwo do należytego wypełniania swego ciężkiego, choć bardzo zaszczytnego posłannictwa.

W tym celu urządzono w różnych miastach okupacyi austryackiej szereg kursów praktycznych dla ludowego nauczycielstwa, na których miało się ono sposobność zapoznać pod fachowem kierownictwem

Z frontów bojowych: Posterunek obserwacyjny na froncie Soczy (Woj. kwat. pras.)

Z frontów bojowych: Austryacki miotacz min, gotowy do strzału (Woj kwat. pras.)

z głównemi zasadami sadownictwa, pszczelnictwa, rysunków (z uwzględnieniem szkoły pracy), robót ręcznych kobiecych, guzikarstwa i t. p.

Tego rodzaju kurs praktyczny odbył się w ubiegłym roku szkolnym w Jędrzejowie pod kierunkiem inspektora Kaczorowskiego przy nader licznym udziale nauczycielstwa obojga płci z całego okręgu. Uczestnicy kursu spędzili czas wakacyjny przyjemnie i pożytecznie, nabywając w krótkim stosunkowo czasie prócz wiadomości teoretycznych i wiele praktycznego doświadczenia, mającego im w przyszłości ułatwić godne spełnianie obowiązków zawodowych.

„Macierz Szkolna" na Wołyniu.

Najbardziej zaniedbaną dziedziną życia społecznego na całym obszarze ziem polskich, podległych berłu rosyjskiemu, było zawsze szkolnictwo na wszystkich jego stopniach, zwłaszcza zaś ludowe. Rząd rosyjski starał się usilnie o to, by wszelką oświatę tłumić, a jej krzewicieli uważał stale za niebezpiecznych przestępców politycznych, przeszkadzających biurokracyi przy rusyfikowaniu powolnem, ale stałem miejscowej ludności.

Z chwilą, gdy zdawało się, że na terytoryum podległem berłu białego cara zaczyna świtać jutrzenka wolności, znalazła się w Królestwie Polskiem garstka osób, które wierząc, że rozpoczyna się nowa era, założyły „Macierz Szkolną", mającą na celu jak najintenzywniejsze szerzenie oświaty i narodowego uświadomienia. Ale radość była krótka. Z chwilą, gdy widmo rewolucyi przestało grozić Rosyi, powróciły też i dawne stosunki, a wszelkie wolnościowe porywy rozpoczęto tłumić ze zdwojoną energią. Pamiętając o znanem haśle: „Przez oświatę, do wolności", rozpoczęto też systematyczne gnębienie „Macierzy" i jej członków.

Ale wreszcie runął kolos, oparty na nietrwałej podstawie, a na jego gruzach rozpoczęło się nowe życie. Odżyła też i „Macierz Szkolna" i zabrała się energicznie do pracy i to nie tylko w samem Królestwie Polskiem, ale i w innych prowincyach dawnej Rosyi, więc na Podolu, Wołyniu i Ukrainie, słowem wszędzie, gdzie zamieszkuje ludność polskiej narodowości.

Jedną z takich placówek, mających między ludem siać ziarno oświaty, jest filia „Macierzy Szkolnej" w Turyczanach na Wołyniu, założona w ostatnich czasach. Pierwsze organizacyjne zebranie odbyło się przy licznym udziale wszystkich sfer miejscowego polskiego społeczeństwa Reprezentowane było duchowieństwo, ziemiaństwo, intelligencya miejska, oraz włościanie. Ogółem obecnych było około sto osób. Zebranie zagaił p. Krzyżanowski, a przewodniczył znany działacz narodowy na Wołyniu, p. Osuchowski. Obecnym był także komendant etapowego powiatu, major Franciszek Wodiczka i referent spraw szkolnych, inspektor Gürtler.

W skład Zarządu głównego weszli: T. Krzyżanowski, jako prezes; ks. Wł. Ginoff, wiceprezes; T. Dworakowski i A. Konczewska, sekretarze; G. Zaleski, skarbnik; ks. Bujalski, ks. Tarnogórski, J. Proncuk, J. Hypś, członkowie.

Uzupełniające kursy dla nauczycielstwa ludowego w Królestwie Polskiem: Kierownictwo i uczestnicy kursu ogrodniczo-pszczelniczego w Jędrzejowie.

Uzupełniające kursy dla nauczycielstwa ludowego w Królestwie Polskiem: Uczestniczki kursu rysunków w Jędrzejowie przy zdejmowaniu z natury.

Radę Nadzorczą tworzą: W. Osuchowski, prezes, oraz członkowie: K. Teleżyński, T. Siemiątkowski, A. Kaczkowski i Babulski.

Nie ulega wątpliwości, że Galicya, Królestwo Polskie i Poznańskie pospieszą wołyńskiej „Macierzy Szkolnej", walczącej z wielkiemi trudnościami, z wybitną pomocą.

Wojna pod ziemią.

Wojna światowa przybrała formy, które stoją poza dotychczasowem doświadczeniem. Musiały też znaleźć zastosowanie nowe sposoby walki, a praca na frontach wymaga roboty drobnostkowej, od której nieraz powodzenie walki jest zależne. Walka pozycyjna wymaga od wiedzy wojskowej nowych pomysłów. Podstawą jej stała się ziemianka i okop, które dostosowują się do wymagań ochrony przed masowym ogniem artyleryi. W miękkiej ziemi frontu rosyjskiego jedynem narzędziem pracy jest łopata. Każdy żołnierz jest tu zarazem robotnikiem ziemnym. Inaczej jest na przykład na froncie włoskim, gdzie nie można robić okopów, ale wszystko wykuwać w kamieniu. Swider młot i dynamit stanowią tu główne narzędzia. Wprawdzie górnictwo zna wiele maszyn do wiercenia kamienia, ale wojna wymaga

Uzupełniające kursy dla nauczycielstwa ludowego w Królestwie Pol.: Kierownictwo i uczestniczki kursu rysunków i robót ręcznych w Jędrzejowie Siedzą od lewej strony ku prawej: Prof. Gołębiowski, radca szkol. dr. Reiter, naucz. Kowarzówna, insp. Kaczorowski.

„Macierz Szkolna" na Wołyniu: Inicyatorowie i członkowie Zarządu głównego, oraz Rady nadzorczej filii „Macierzy Szkolnej" w Turyczanach na Wołyniu, po zebraniu organizacyjnem.

Wojna pod ziemią: Udzielenie pierwszej pomocy zatrutemu gazami. (Woj. kwat. pras.)

Wojna pod ziemią:

Wynoszenie omdlałego ze sztolni podkopu. Sanitaryusze w maskach ochronnych.

Saper, pracujący przy zakładaniu min, w aparacie, chroniącym przed zatruciem gazem.

dostosowania ich do trudnych warunków, w jakich one muszą pracować. Centralizacya pracy jest tu wykluczona. Maszyny muszą być małe, dające się łatwo składać i przenosić i umożliwiać obsługę przez niefachowców nieraz w bardzo prymitywnych warunkach. Takie maszyny musiano dopiero zbudować i rozwiązać niejeden problem techniczny.

Soczą jednej dolinki, której ściany nie byłyby podziemnem schronieniem dla tysięcy żołnierzy.

Stworzenie jednak takich mieszkań jest najcięższą pracą oddziałów minierskich. Zapomocą maszyn elektrycznych albo pędzonych skondensowanem powietrzem rozbijają one skały, wżerając się w jej głębie. Dzieje się to nieraz pod ogniem nieprzyja-

jakikolwiek sukces. W ostatnich dniach udało im się też pogłębić łuk pod Ypres tak, że przybrał on kształt sierpu. Pierwotnie cięciwa jego miała 10 klm. długości i 4 klm. głębokaści. Obecnie cięciwa przedłużyła się do 18 klm., o głębokość zagięcia urosła do ośmiu, względnie dziewięciu klm. Ogółem teren, zajęty przez Anglików, przedstawia obszar 40 do

Z frontów bojowych:

Groby bohaterów 1. i 93 pułku piechoty w Molodii, koło Czerniowiec, poległych w potyczce dnia 5 sierpnia b. r.

Zniszczona pociskami armatniemi chata w Molodii na Bukowinie. (Zdjęcie, dokonane dnia 5. sierpnia br. po wkroczeniu tamże 13. pułku piechoty)

Celem pracy na froncie włoskim utworzono osobne oddziały minierów, którzy zajmują się tylko rozsadzaniem skał i budowaniem schronisk dla wojska. Aby ocenić w jakich warunkach pracy tej się dokonywa — kilka słów o Krasie. Całe wyżyny Krasu składają się z ostrych kamieni, które połamane zębem wieków w najfantastyczniejsze kształty stanowią twardą opokę, na której w mig rozlatuje się obuwie, a w której dopiero trzeba drążyć wszelkie sadyby ludzkie. Skała ta jest prawie naga. Tu i ówdzie znajdują się małe dolinki zarosłe krzewami i małymi laskami, zwykle powstałe przez zapadnięcie się wielkich grot. I te dolinki stanowią osłonę dla rezerw i teren mieszkaniowy. W ich ściany wkuwa się olbrzymie groty, a w nich, często zalanych wodą, znajdują żołnierze ochronę przed nieprzyjacielską artyleryą. Dzisiaj nie ma już w pobliżu frontu nad

cielskim, często połączenia doprowadzające prąd z większych central zrywają granaty. Praca w skale jest bardzo ciężka i dla zdrowia szkodliwa. Nieraz grota musi być budowana poniżej poziomu doliny a wtedy woda zalewa roboty i trzeba pracować w bagnie i pod zalewem.

Mimo tych trudności praca idzie naprzód nieraz w tempie bardzo pospiesznem, gdyż wojna nie może czekać. Oddziałów takich pracuje na froncie bardzo wiele.

Z frontów bojowych.

Gdy na wschodnim froncie po odwrocie Rosyan z pod Rygi panuje względny spokój, na wschodnim i południowym froncie nie ustają zacięte walki. — Zwłaszcza Anglicy usiłują za wszelką cenę osiągnąć

50 klm. kwadr., chyba więc nikt go nie może uważać za wielką zdobycz. Anglicy wszakże widzą w niej pomost, po którym radziby przedostać się do Brügge. Nie jednym susem, lecz powoli, krok za krokiem.

Przed kilku dniami rozgorzały nowe boje. Tym razem kuszą się Anglicy o to, by rozpiętość sierpa pod Ypres rozszerzyć z boku. Świadczy o tem kierunek ich uderzeń. Po rozrzutnem aż do szaleństwa obrzuceniu stanowisk niemieckich pociskami działowymi, pędem pomknęła piechota angielska do ataku wzdłuż linii kolejowej Staden Boesinghe, jakoteż na północ od drogi Menin-Ypres. Walka jeszcze ciągle nieukończona, staje się znowu świadectwem niepokonanej siły niemieckiego oporu.

Wystarczy przypatrzeć się bliżej tokowi operacyi, by rozpoznać zaraz ich najbliższe cele. Jeden

Z frontów bojowych: Kwatera oficerska na froncie Soczy w domu zburzonym przez nieprzyjacielskie granaty. (Woj. kwat. pras.)

cios jest skierowany w stronę północno-wschodnią, w stronę obydwu flank łuku Ypres. Na północ od kolei Staden-Boesinghe rozpościera się na długości 5—6 klm., a szerokości 3—4 klm. las Houthoulster, leżący tuż za liniami niemieckiemi i należący do sfery ochronnej. Ten las już sam w sobie jest objektem trudnym do opanowania, to też Anglicy z należnym omijali go zawsze respektem podczas swych ataków. Rzecz naturalna. Walki takie nigdy nie dadzą się przeprowadzić systematycznie. Przegląd widowni bojowej jest tu niemożliwy, działanie artyleryi zawodne. A liczyć się jeszcze i z tem należy, iż strona dzierżąca las w swych rękach, oprócz naturalnych, stwarza jeszcze i sztuczne przeszkody. Jakoż Niemcy obwarowali ten las nie tylko zewnętrznie, lecz także wewnątrz, posługując się przytem wszelkiemi arkanami techniki wojennej.

Nie mogąc tedy marzyć o zdobyciu lasu wprost, Anglicy czynią wysiłki, by stworzyć taką sytuacyę, iżby ona zmusiła Niemców do porzucenia lasu dobrowolnie. Uderzenie w kierunku Staden ma widocznie za cel okrążenie lasu od południa. Gdyby się to udało, padłby on, jak dojrzały owoc, w wyciągnięte ręce nieprzyjaciela, a wówczas zagrożony byłby cały odcinek frontu niemieckiego w tej stronie aż po Dixmuiden. Owo jednak malutkie „by" nadaje właśnie realne piętno położeniu. O istotnych sukcesach Anglików mówić dotąd można tylko trybem warunkowym....

Jako drugi cel angielskich ataków uważać należy ważny punkt węzłowy dróg żelaznych Staden, odległe o 9 klm. od Poelkapelle. Owóż zdaje się, że Anglikom uśmiecha się nadzieja zawładnięcia tym punktem, przytem automatycznie front niemiecki musiałby być wstecz przełożony.

Włosi znowu próbują szczęścia na płaskowyżu Bainsizza-Heiligengeist. Pod Kal, mniej więcej w połowie płaskowyża, ruszyli do gwałtownego ataku, zostali jednakże odparci, przyczem ciężkie ponieśli straty.

Cmentarze wojenne: Jeden z cmentarzy wojennych we Lwowie.

Z frontów bojowych: Urządzenia ochronne na drodze, w bezpośredniem sąsiedztwie Monte San Gabriele (X), celem omylenia czujności nieprzyjacielskich lotników. (Woj. kwat. pras.)

Z teatru im. Jul. Słowackiego: Wykonawcy „Nowej Dejaniry". Od lewej strony ku prawej: Irena Solska-Grosserowa, Amalia Rotter, Helena Zaborska, Marya Majdrowiczówna, Aleksander Węgierko, Ferdynand Feldman, Edward Żytecki i reżyser Aleksander Zelwerowicz.

Z teatru im. Jul. Słowackiego.

Idąc za wskazaniami wielkiego swego patrona, wznowił nasz dramat. dnia 6. b. m., arcydzieło księcia poetów polskich — „Nową Dejanirę" — Juliusza Słowackiego, dając jej możliwie najświetniejszą obsadę i oprawę sceniczną. Doskonały obecnie zespół naszych artystów pozwolił dyrekcyi pokusić się o wystawienie tego, bodaj najtrudniejszego do grania, utworu naszej literatury dramatycznej, a entuzyastyczne przyjęcie krytyki i naszej publiczności świadczy najlepiej o powiedzeniu się chwalebnego przedsięwzięcia. W tym numerze podajemy fotografię artystów, którzy wykonaniem „Nowej Dejaniry" stworzyli jeden ze świetniejszych wieczorów bieżącego sezonu, oraz podobiznę młodego artysty, p. Edwarda Żyteckiego, który zaznaczył się sympatycznie kilku doskonałemi kreacyami.

Z teatru im. Jul. Słowackiego: Edward Żytecki.

Piotr Zaccone

Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: Marya Segeny.

19

— Ach! Gdybym była wcześniej o tem wiedziała! — jęknęła Berta.

— Tak, ale nie wiedziała pani! Tylko, u dyabła, czy sądzi pani, że ta sprawa tak lekko się zakończy? Nieświadomość twoja, śliczna panno Berto, nie uchroni cię przed zarzutem wspólnictwa, a co do pana Lambertin, to ten otrzyma kilka lat ciężkiego więzienia.

— Mój Boże! — rozpaczała Berta — Czy ja mogłam coś podobnego przypuścić. Powiedziano mi tylko, że mam zbałamucić młodego chłopca z prowincyi, otrzymać od niego dokument, z którego treścią zapoznać się chciano i przepisać. Oto wszystko. Nic więcej poza tem nie wiedziałam.

— Nie wątpię w to.

— A teraz, pan mówi — jąkała się młoda kobieta — że... mój Boże, co robić?!

Cypryan Leduc zdawał się nad czemś głęboko zastanawiać, a w rzeczywistości bacznie obserwował jej zachowanie się.

— No, no! — rzekł po chwili pewnym głosem — Nie trzeba zaraz tracić przytomności umysłu. Należy działać. Czy chce mi pani naprawdę dopomódz do naprawienia złego, wyrządzonego lekkomyślnie przez panią?

— Pan się jeszcze pyta? Czego pan żąda? — zawołała gorączkowo Berta.

— Prawie nic.

— Oh! Niech pan mówi! Niech pan mówi! Jeżeli jest sposób do wyratowania tego biedaka, który mi zaufał, nie cofnę się przed niczem, zaręczam panu.

— Taki sposób istnieje!

— Chwała Bogu!

— Zależy pani naprawdę na Lambertin'ie?

— On jest taki dobry! — wyszeptała, rumieniąc się, młoda kobieta — I kocha mnie tak bardzo!

— A więc opuści pani Paryż.

— Z nim?

— Z nim, naturalnie. Czy ma pani dosyć pieniędzy?

— Mam.

— Gdyby ich pani nie miała, to dostarczy się ich. Pojedzie więc pani...

— Kiedy?

— Zaraz.

— I gdzież się mam udać?

— Do Hawru.

— Co za dziwny zbieg okoliczności. On właśnie chciał jechać do Hawru, żeby stamtąd udać się do Ameryki.

— A więc teraz pojedzie nie sam, tylko w towarzystwie pani. Zamiast jednak jechać do Ameryki, udacie się do Ingouville, gdzie nad brzegiem morza wynajmiecie odosobniony domek i tam nadal żyć będziecie, jak para kochających się gołąbków. Jakże się pani ten projekt podoba?

— Ach! Mój Boże! Jaki on będzie szczęśliwy!

— Miejmy nadzieję, że i pani na szczęściu również zbywać nie będzie. Jednakże jest jeszcze ważny bardzo warunek.

— Proszę, niech pan mówi.

— Jak raz już zamieszkacie w Ingouville, już się stamtąd nie ruszycie i pozostaniecie.

— Jak długo?

— Zostaniecie tam, aż ja sam przybędę uwolnić was. Zgadza się pani?

Berta pochwyciła rękę starego archiwisty i uścisnęła ją mocno.

— A jeżeli zgodzę się na ten warunek — rzekła proszącym, miękkim głosem — przyrzeknie mi pan, że już nigdy o tej nieprzyjemnej historyi słyszeć nie będę?

— Jeżeli pani uczyni tak, jak tego żądam — odpowiedział Cypryan Leduc — to przysięgam pani, że się wam obojgu nic złego nie stanie.

— Oh! Jakże panu wdzięczną będę! — zawołała gorąco Berta.

— Skończyliśmy już więc na razie ze sobą — rzekł stary archiwista, pukając równocześnie w szybę i dając znak stangretowi, aby konie zatrzymał — Niech tylko pani nie zapomni o zleceniach moich, a wszystko będzie dobrze. Oto mój bilet wizytowy. Napisz do mnie, moje dziecko, jak tylko przybędziecie do Hawru i czekajcie w waszem gniazdku cierpliwie, aż się zjawię u was, lub dam jakiś znak życia.

— Uczynię wszystko, co pan zechce! — odpowiedziała Berta, uśmiechając się wesoło — Dzięki panu, wielki ciężar spadł mi z piersi.

— Do widzenia więc, moje dziecko — rzekł Cypryan Leduc.

Wysiadł z powozu i pożegnawszy życzliwie młodą kobietę, oddalił się spiesznie.

— — — — — — — — — — — — — — —

Po odejściu Berty, pułkownik Robert pozostał długą chwilę zamyślony i skupiony w sobie.

Wielka radość lubi być przeżywana w milczeniu, a pułkownik w tej chwili czuł się szczęśliwym.

Wszystko składało się jak najlepiej i śmiałemu jego przedsięwzięciu nie groziło już żadne niebezpieczeństwo.

Uczynił bowiem Oliwię i barona d'Esclairs zupełnie nieszkodliwymi dla siebie i miał nadzieję uzasadnioną, iż niedługo znikną mu już z oczu na zawsze, a prawa oczywistego spadkobiercy Bonneta nie istniały wcale przez zniszczenie testamentu. Pozostawała tylko Gilberta, ale tę trzymał w swojej mocy i mógł w każdej chwili łatwo nagiąć do swojej woli.

A zresztą, gdyby się nawet mu opierała, znajdzie środek, aby ją ubezwładnić i uczynić powolną swoim zamiarom.

Pułkownik Robert nie należał do ludzi, którzy cofnąć się mogą przed czynem jakimś gwałtownym i brutalnym, jak tego już dał niejednokrotnie dowody. Teraz miał on przed sobą ostatni krok do przebycia i nie było mowy o wahaniu się. Stać się musi to wszystko, co zamierzał i do czego dążył dotąd z zuchwałością i energią, które zawieść go nie mogły.

Czoło pułkownika Roberta jaśniało radością i wewnętrznem zadowoleniem, oczy błyszczały głębokim ogniem.

Czuł się silnym i wielkim, bo umiał zapanować nad wszelkiemi przeszkodami, stojącemi na jego drodze do zdobycia szczęścia i majątku.

Po śniadaniu, około godziny pierwszej, zeszedł do ogrodu. Wydał był rozkaz, aby zaprzągnięto do powozu na godzinę drugą. Tymczasem więc przechadzał się po ścieżkach, paląc cygaro.

Dziwne pragnienie opanowało go nagle. Chciał odwiedzić Cypryana Leduc i już naprzód śmiał się z jego niepowodzenia i zmieszanej miny, kiedy ujrzy go, wchodzącego do siebie.

Pułkownik Robert miał wiele uznania dla mądrości starego archiwisty, ale doznawał niewypowiedzianie przyjemnego uczucia tryumfu na myśl swojego zwycięstwa.

Już odtąd Cypryan Leduc nie mógł być niebezpiecznym dla niego, już nic złego przeciw niemu przedsięwziąć nie mógł!

Wraz ze zniknięciem testamentu, jeden tylko winowajca wypływał na widownię i mógł być poszukiwany przez władze policyjne. Tym człowiekiem był pomocnik notaryusza Durandeau — Lambertin.

Co najwyżej, może wciągniętoby Bertę do sprawy, jako współdziałającą. To zaś było zupełnie obojętną kwestyą dla pułkownika. Czyż wobec opinii publicznej i władz słowo takiej dziewczyny mogło zaważyć cośkolwiek i rzucić cień choćby podejrzenia na niego, człowieka znanego i stojącego na tak wybitnem socyalnie stanowisku.

Nie było nawet nad czem się zastanawiać. Zresztą podczas śniadania pułkownik otrzymał bilecik od młodej kobiety, następującej treści:

„Wyjeżdżam z nim. Wsiadamy na pociąg, idący do Hawru. Zegnam pana"...

Czyż mógł żądać czegoś więcej?

Widocznem było, że Lambertin nie czuł się bezpiecznym we Francyi i obawiając się pościgu udawał się do Ameryki, namówiwszy Bertę, aby mu towarzyszyła w tem przymusowem wygnaniu.

Pułkownik podziwiał siłę miłości wybuchającą nagle w sercu tej kobiety lekkomyślnej i próżnej, jak sądził i rad był bardzo ze siebie, że potrafił tak bez trudu pozbyć się w krótkim czasie tych wspólników, których obecność na miejscu mogła się wkońcu stać kompromitującą.

A teraz, kiedy taka przestrzeń dzielić ich będzie, cóż mu z ich strony grozić może?

— Wszystko jest dobre, co dobrze się kończy. — zauważył, uśmiechając się.

Przechadzał się więc po ogrodzie, paląc cygaro i reasumując w myśli wszystkie te wydarzenia tak szczęśliwie składające się dla niego, kiedy w pewnej chwili podszedł do niego służący i podał mu na tacy bilet wizytowy.

— Co to jest? — zapytał pułkownik.

Spojrzał na kartę i drgnął mimowoli. Wyczytał na niej bowiem nazwisko Cypryana Leduc.

— Czy ta osoba tu jest? — zapytał.

— Jest. Czy pan chce ją przyjąć?

— Zapewne, zapewne. — wycedził powoli pułkownik — Przyprowadzić ją tutaj.

Służący odszedł i za chwilę sprowadził starego archiwistę.

Pułkownik wyszedł na jego spotkanie, uśmiechając się uprzejmie.

— Jakże to grzecznie z pana strony — wyrzekł — że pan pomyślał o oddaniu mi wizyty. Właśnie miałem zamiar udać się teraz na ulicę Abbaye.

— Naprawdę? — odparł Cypryan Leduc.

— Tak jest. Już dawno nie miałem przyjemności porozmawiania z panem... a zdawało mi się, że pan ma bardzo ciekawe rzeczy do zakomunikowania mi.

— Rzeczywiście.

— Czy w tym celu przyszedł pan do mnie?

— Tak, w tym celu.

— Może pan woli, abyśmy weszli do mieszkania? — zapytał grzecznie pułkownik.

— Po co. Jest tu nam bardzo dobrze, chyba może pan woli...

— Ja? Och! Ja lubię bardzo świeże powietrze, bo jestem do niego od dziecka przyzwyczajony. Jeżeli pan chce, usiądziemy sobie w tej altance i porozmawiamy całkiem swobodnie.

Mówiąc to, pułkownik poprowadził gościa do oznaczonego miejsca, a kiedy usiedli, wpatrzył się w niego badawczo, zaintrygowany niezmiernie temi nieoczekiwanemi odwiedzinami.

— A więc. — rozpoczął po chwili, lekko zniecierpliwiony, widząc, że Leduc milczy — Jesteśmy sami. Pan ma mi coś do powiedzenia, słucham.

Stary archiwista uśmiechnął się lekko.

— Przyszedłem tutaj nie przez prostą ciekawość, kochany pułkowniku, ale dlatego, że mam do uczynienia panu parę wymówek.

— Wymówek? Mnie?

— A komużby innemu?

— Nie rozumiem pana.

— Czy pan już zapomniał o ostatniej naszej rozmowie, która miała miejsce w Belleville, w nocy, a której wynikiem była umowa między nami zawarta. Wszak pan tę umowę zaakceptował w zupełności, o ile sobie przypominam.

— Tak jest, przypominam sobie doskonale tę naszą rozmowę. — odpowiedział pułkownik.

— Jednakże pan naszej umowy nie dotrzymał.

— Dlaczego pan tak sądzi? Może się pan myli, panie Leduc. Czy uczyniłem coś takiego, coby pozwoliło panu tak przypuszczać?

— A, mój Boże! — uśmiechnął się dobrodusznie stary archiwista — A podróż odbyta przez pana niedawno do Marsylii w towarzystwie tej sympatycznej dziewczyny, Berty?

Pułkownik zadrżał i słuchał z natężeniem dalszych słów.

Ale Cypryan Leduc zamilkł i zapalił papierosa.

— Pan wiedział o tej podróży? — zapytał wkońcu pułkownik, chcąc przerwać nieprzyjemne dla niego milczenie.

— Wiem, że udał się pan do Saint-Nicolas, że korzystając z nieobecności notaryusza pana Durandeau, wszedł pan w stosunki z panem Lambertin, że opanował pan zręcznie tego chłopca przez pośrednictwo osoby drugiej i środkami, przeciw którym oburzyłaby się może moralność publiczna...

— Co tam o środki użyte — przerwał pułkownik — jeżeli doprowadziły do wygranej, tak, jak jest w tym wypadku.

— Nie zaprzeczam, nie zaprzeczam. — bąknął Cypryan Leduc.

— A więc, do czego pan dąży?

— Zaraz, zaraz, cierpliwości, kochany panie! Idźmy dalej. W dwa dni po pana bytności w Saint-Nicolas pan Lambertin opuścił nagle biuro pana Durandeau i przybył do Paryża, aby połączyć się z młodą kobietą, której uroda i kokieterya odebrały mu zupełnie przytomność umysłu.

— Przyzna pan jednakże — rzekł pułkownik — że te sprawy nie obchodzą mnie wcale.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Fragment z pochodu w ul. Grodzkiej: Banderya włościan

Kraków Kościuszce:
(Fot. A. Dulęba).

Przemówienie posła Serczyka w czasie uroczystości na Rynku

Kraków Kościuszce:

Orkiestra włościańska i Legioniści w pochodzie na Wawelu

(Fot. Pierzchalski, Kraków).

Ostatnia grupa pochodu na Wawelu: Duchowieństwo, Uniwersytet, posłowie, Rada miejska i cechy

Kronika tygodniowa.

Jako człowiek, miłujący nad wszystko prawdę i gotowy zawsze dla niej i za nią do największych nawet poświęceń, muszę przyznać, że co do „babiego lata“ w tym roku się paskudnie pomyliłem. Twierdziłem mianowicie, że te ciepła, jakie mieliśmy przed kilku tygodniami, to lato astronomiczne, a nie „babie“, tymczasem pokazało się, że byłem w błędzie, racyę zaś mieli ci, którzy utrzymywali inaczej, w szczególności zaś referenci tych spraw w *Kuryerku* i *Nowej Reformie*. Na dowód przyniesiono mi nawet spory kawał pajęczyny, ale dość nikłej. Prawdziwy towar wojenny, pozostawiający bardzo wiele do życzenia. Widocznie i pająki, tak, jak ludzie, odczuwają też okropności wojennego czasu. Gdym porównał tą pajęczynę z przedwojenną, którą znalazłem w kącie mego pokoju, spostrzegłem już na pierwszy rzut oka ogromną różnicę, tak pod względem jej jakości, jakoteż i ilości.

I to mnie poniekąd tłumaczy. Mam słaby wzrok, więc jej też nie dojrzałem i dlatego mimowolnie wprowadziłem w błąd P. T. Czytelników, za co niniejszem przepraszam i obiecuję solennie poprawę. Ci więc, którzy w myśl mych oświadczeń czekali lub czekają jeszcze na „babie lato“, niech się pożegnają z tą myślą. Z powodów od Redakcyi niezależnych odłożone zostało na rok przyszły, natomiast zaś wielkimi krokami zbliża się do nas zima i trzeba się godnie przygotować na jej przyjęcie.

W pierwszym więc rzędzie radzę każdemu i każdej pamiętać przedewszystkiem o ziemniakach, gdyż właśnie rozpoczyna się ich kopanie. Według oświadczenia odnośnej Centrali, mają producenci dostarczyć Rządowi dwadzieścia milionów cetnarów metrycznych, które będą użyte dla pokrycia ogólnego zapotrzebowania, co do reszty, wolno im nią w dowolny sposób dysponować, co, na zwykły język przetłumaczone, brzmieć powinno: „Oddaj wszystko, co masz, a ta reszta, to twoja!“...

Z kapustą jeszcze gorzej, jak bowiem wiadomo, zjadły ją częścią gąsienice, a to, co zostało, ajenci jakiegoś tam „Geosu“ zakontraktowali już na wywóz w zachodnie strony. Należy więc pożegnać się z tak popularnemi dotąd u nas potrawami, jak: kiełbasa z kapustą, bigos hultajski i t. p.

Słuszność zresztą sama wymaga, by, skoro kiełbasę wywieziono z Krakowa na zachód, podążyła za nią i kapusta, by i Wiedeńczycy mogli spróbować, czy to dobre, co nam tak smakowało.

Drugą zimową bolączką są węgle, o które również trudno się doprosić, choć Galicya ma ich stosunkowo dosyć, tak, że powinnyby właściwie pokryć jej zapotrzebowanie. Ale i z węglem dzieje się to samo, co z ziemniakami i kapustą. Czują ogromny: *Drang nach Westen* i także jadą na zachód.

Różni spekulanci mają podobno wcale ładne zapasy, ale na razie pochowane. Można je nawet nabywać, jeśli się ma znajomości i protekcyę, ale na wagę złota. Miał racyę ś. p. Maurycy Jokaj, nazywając je „czarnymi dyamentami“.

Nie mogąc się w zimowym czasie ogrzać przy piecu, nie mogąc tego uczynić w żadnym lokalu rozrywkowym, gdyż one w myśl rozporządzenia władz mają być nieopalane, należałoby bodaj ubrać się ciepło, ale i to przyjdzie każdemu z trudnością, skoro Centrala zajęła wszystkie prawie zapasy cieplejszej bielizny, a wierzchnie ubrania będzie można nabywać tylko na podstawie kartek. Chcąc, dajmy na to, kupić sobie nowe „uewymowne“, musisz najpierw zdjąć stare, oddać je w odnośnym urzędzie, w zamian zaś otrzymasz kartkę, upoważniającą do sprawienia sobie nowej pary. Ponieważ zaś znamy dobrze pospiech urzędowy, nasuwa się mimowoli pytanie, co ma się robić w międzyczasie, to jest od chwili oddania starych, do nabycia nowych, zwłaszcza u osób, które tę niezbędną część okrycia dolnych sfer cielesnej powłoki posiadają tylko w jednym egzemplarzu. A takich jest ogromna większość.

O zimowym paltocie ani mowy. Dziś, przed wejściem w życie kart ubraniowych, cena takiej „okryjbiedy“, i to bynajmniej nie w najlepszym gatunku, dochodzi już do tysiąca koron, jak będzie później, tego nikt nie wie. Ze krawcy za robotę żądają wprost bajońskich sum, temu się i dziwić nie można, skoro za nici zwykłe płacić muszą po kilkanaście koron za zwijadełko, które dawniej kosztowało kilka halerzy. Także i guziki to rarytas, nic też dziwnego, że nie spotykamy już na przedmieściach grających w nie andrusów. O innych, tak zwanych „dodatkach krawieckich“, musi się to samo powiedzieć. Ceny ich poszły w górę w sposób niebywały, handlarze zaś tłumaczą się, iż dlatego, że nowe transporty nie nadchodzą z zagranicy.

Pokazało się przecież, że i w Krakowie możnaby znaleźć nawet i większe zapasy tych artykułów, ale trzeba umieć szukać. Niedawno odkryto przyzwoity magazyn nici, przechowywanych na późniejsze czasy, to jest, gdy będzie można wziąć za nie jeszcze więcej.

Jednem słowem, niema artykułu, potrzebnego koniecznie do życia, by nie stał się przedmiotem spekulacyi niesumiennych jednostek. Powiadają wtajemniczeni, że jest w Krakowie dzielnica, gdzie każde prawie mieszkanie, to formalny magazyn najrozmaitszych towarów, nagromadzonych z iście mrówczą pracowitością. W miłej zgodzie znajdziesz tu wszystko, co potrzebne człowiekowi do zaspokojenia głodu i pragnienia, ubrania się, ogrzania, nawet przyjemności. Właściciele boją się tylko jednej rzeczy, to jest końca wojny, gdyż wówczas ceny spadną gwałtownie, a ich ominie zysk spodziewany. Nic też dziwnego, że „jaskółki pokojowe“ nie są tam bynajmniej witane z radością, a każda z nich wywołuje nie mniejszy popłoch, jak ogłoszenie nowego „musterunku“. Władze są wobec tych, nie wiem, jak je nazwać, hyen, szakali, czy pijawek, bezsilne, tworzą one nader silną organizacyę, a umieją się tak urządzać, że tylko bardzo rzadko powinie się któremu noga i dostanie się tam, gdzie czeka go wypoczynek po trudach pracowitego żywota, to jest, w gościnne mury kryminału, którym się w Krakowie opiekuje święty Michał. Święty ów, choć patron Galicyi, a nie Krakowa, ma i w murach naszego grodu wielu, zasługujących na to, by się dostali pod Jego skrzydła.

Jeśli na dobitek dodamy do tego okoliczność, że rozmaici goście, bawiący w Galicyi chwilowo, tak ją pokochali, iż starają się wywieźć z niej bodaj jakąś pamiątkę, a jako najodpowiedniejsze uważają artykuły spożywcze, które całymi wagonami mkną na zachód, możemy tylko zapłakać nad naszą mizeryą. Łzy ocierają nam wprawdzie obietnice, że będzie lepiej, ale jakoś się na to nie zanosi.

Do tych cierpień, nazwijmy je fizycznemi, gdyż dotyczą głównie ciała, dołączają się obecnie i moralne, to jest obawa przed zapowiadaną coraz głośniej redukcyą majątku prywatnego ogółu. Każdy, kto ma bodaj coś w swem posiadaniu, jest więc w strachu, że i tem będzie się musiał podzielić, równowagę umysłową zachowują jedynie ci, którzy nic nie mają, a do tych właśnie szczęśliwców zalicza się i kronikarz, operujący stale deficytem, nie mający więc nic przeciw temu, by go nawet w całości komuś odstąpić. Jedynym mym majątkiem jest Weronisia, ale skarby tego rodzaju nie podlegają redukcyi, choć, gdyby do tego przyjść miało, gotowy byłbym bez wahania do poniesienia nawet i tej ofiary. Inaczej natomiast zapatrują się na tą sprawę ci, którzy mają wiele, a nawet bardzo wiele. Ci, od czasu mowy ministra skarbu, barona Wimmera, który redukcyę majątkową zapowiedział, łamią sobie głowy nad tem, w jaki sposób ulokować najpewniej swe kapitały, by z nich nic, a przynajmniej jak najmniej uronić. To też, zwłaszcza na Kazimierzu, który od czasu wybuchu wojny stał się krakowską dzielnicą milionerów, tylko o tem się mówi i nad tem się zastanawia

Aby zaś na te wszystkie sprawy zapatrywać się trzeźwo i rozważać je „na zimno“, wydały czynniki miarodajne polecenie, iż przed dniem 16. października nie wolno opalać nawet i prywatnych mieszkań i to pod karą do dwudziestu tysięcy koron, która w szczególniejszych, zasługujących na to wypadkach, może znaleźć rekompensatę w odpowiedniej liczbie dni, jakie dany osobnik miałby odsiedzieć w furdygarni, naturalnie także nieopalonej. Miła perspektywa, na samo jej wspomnienie musi się człowiekowi zrobić gorąco.

Ponieważ zaś niebiosa raczyły właśnie teraz obniżyć temperaturę, marzniemy więc i z boleścią patrzymy na termometr, w którym rtęć, jakby na złość, zamiast iść w górę, ciągle opada, a odnośne czynniki zastanawiają się nad tem, czy nie należałoby, wobec braku węgli i innych materyałów opałowych, zaprowadzić na przeciąg zimowych miesięcy na wzór „letniego czasu“ i „letnią temperaturę“, co dałoby się w ten sposób bardzo łatwo uskutecznić, gdyby się, w czasie od 15. października do 15. kwietnia włącznie, przesunęło w termometrach słupek rtęci o dziesięć stopni ku górze. Możnaby także w tym samym celu zakazać wogóle używania termometrów, a wszelkie wzmianki kronikarskie o obniżeniu się temperatury z urzędu konfiskować. Nie wiedząc, ile stopni, nie narzekaliby ludziska, że im zimno. Z równieź dobym skutkiem możnaby zastosować sposób, wprowadzony przez pewnego lekarza-specyalistę, który osiągnął znakomite skutki przy kuracyi swych pacyentów alpejskiem słońcem, wymalowanem bardzo udatnie na suficie jego ordynacyjnego pokoju. Ludzie mają bardzo bujną fantazyę, więc i taki słoneczny „Ersatz“ mógłby ich zagrzać, skoro znane są ogólnie wypadki poważnego zaziębienia się przy czytaniu opisu podróży do bieguna północnego lub pobytu wśród śniegów i lodów Syberyi.

Każde mieszkanie należałoby więc zaopatrzyć z urzędu w takie sztuczne słońce, o wielkości, zależnej od ilości głów, a sprawa opałowa byłaby rozwiązaną. Najważniejsze, że tak zwane porażenie słoneczne byłoby wtedy chyba wykluczonem (z wyjątkiem osób bardzo nerwowych i wrażliwych!...).

Nauczeni doświadczeniem, gdyby wojna w roku bieżącym nie miała się skończyć, powinniśmy w przyszłym, już w lecie pamiętać o zimie i, nie mogąc z powodu braku, gromadzić materyałów opałowych, zbierać bodaj ciepłe powietrze i w odpowiednich, szczelnie zamkniętych naczyniach przechowywać je na czas zimniejszy. Nadają się do tego szczególniej różnego rodzaju flaszki i beczki. Te ostatnie mają jeszcze tę dobrą stronę, iż, gdyby zawarte w nich ciepłe powietrze kogoś nie ogrzało, można beczkę porąbać i zapalić nią w piecu, gdy natomiast flaszki trzeba dopiero sprzedać, a za otrzymane pieniądze kupić drzewa lub węgli.

Bieda i potrzeba uczą różnych wynalazków, obecna wojna ma też i dobre strony, gdyż, dzięki jej właśnie, nauczyliśmy się już różnych pożytecznych rzeczy, których receptę zostawimy naszym następcom, by z nich mogli skorzystać, gdyby, czego nie daj Boże, znaleźli się kiedyś w tak miłem, jak my dziś, położeniu.

Skoro mowa o dobrych stronach wojny, to warto wspomnieć o wojennem odkryciu geograficznem. Dowiedziałem się o tem z urzędowej *Gazety lwowskiej*, organu bardzo poważnego i prawie że nieomylnego, zwłaszcza w zakresie politycznym.

Otóż w Pirenejach istnieje najmniejsze ze znanych dotąd w świecie państewek, wobec którego San Marino i Andorra są mocarstwami. Jest to rzeczpospolita Saint-Goust. Zajmuje ona jeden i pół kilometra kwadratowego, a liczy około sto trzydzieści głów. — Mieszkańcy żyją w miłej zgodzie, choć mają parlament, a wobec tego i wybory.

Prezydent republiki jest równocześnie sędzią i poborcą, ściągającym z ludności podatki (podatki — dowód europejskiej kultury!...). Siłę zbrojną stanowi jeden jedyny policyant. Parlament składa się z dwunastu członków, obieranych większością głosów na przeciąg lat pięciu. Kobiety mają również prawo głosu, nie tylko w domu, ale i przy wyborach, ale obieranemi być nie mogą, by pełnienie publicznych funkcyi nie przeszkadzało im w wykonywaniu obowiązków domowych. Do tego czasu rzeczpospolita Saint-Goust zachowała najściślejszą neutralność w wojnie światowej, ale, co będzie w przyszłości, nie wiadomo. Kto wie, czy nie przelęknie się blokady państw neutralnych bez wyjątku, projektowanej przez Amerykę, i nie oświadczy się otwarcie za koalicyą, oddając jej swe siły zbrojne do dyspozycyi.

W celu przeprowadzenia tej blokady, skierowanej przeciw państwom centralnym, głównie zaś Niemcom, proponuje Wilson utworzenie osobnego wydziału handlowego wojennego pod nazwą *Trade Enemy Act*. Ma on mieć za zadanie unieważnienie wszelkich umów handlowych z neutralnymi, z wyjątkiem tych, którzy zobowiążą się zerwać wszelkie stosunki z Niemcami.

Czy rzeczpospolita Saint-Goust przelęknie się tej *Enemy*, zobaczymy w dalszym ciągu, ale może się obejdzie bez jej pomocy, skoro koalicya podobno gromadzi kolosalne siły zbrojne, przygotowując akcyę rozstrzygającą, która ma położyć kres wojnie.

Jacy oni poczciwi!... Do jakich poświęceń są zdolni, byle tylko zapanował raz przecież upragniony pokój!...

Europa ma wojny już dość, energii swej nie mogli natomiast dotąd wyładować na zewnątrz Amerykanie, bardzo wojowniczo usposobieni, nic też dziwnego, że, nie mając innego wroga pod ręką, wzięli się do sufrażystek.

Donoszą z Waszyngtonu, że tłum mężczyzn, prowadzony przez najwybitniejszych obywateli, żołnierzy i marynarzy, urządził najazd na kwaterę sufrażystek, gdzie poniszczono sprzęty, zdarto flagę, a członkinie partyi obrzucono zgniłemi jajami i pomidorami, niektóre nawet dotkliwie poturbowano. Powodem była demonstracya niewiast pod wodzą pani Dexter Otey przed „Białym Domem“. Nazwały Wilsona autokratą i żądały dla siebie więcej wolności, ale to się płci brzydkiej widocznie nie podobało i stąd awantura, przy której interweniowała policya i Towarzystwo ratunkowe.

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.

Ułożył J. Markiewicz. legionista, Przemyśl.

Uznpełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą rozwiązanie.

—dza
—lfa
—ren
—rab
—opa
—zaw
—rab
—pir
—urt
—epy
—ard
—ary
—ora
—men.

Figielek.

Ułożył Cz. Murczkiewicz, Busko.

Z liter wyrazów **Ajko nowy** nic nie dodając, ani odejmując, ułożyć nazwę tego, na co dziś świat cały z utęsknieniem czeka.

Trójkąt magiczny.

Ułożył Ed. Składzień, Zawada.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczenin Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy imię i nazwisko współczesnego polskiego poety.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukane wyrazy. 2. Buntownik. 3. Roślina ogrodowa. 4. Inaczej kalectwo. 5 Sprawozdanie. 6. Owoc. 7. Drzewo południowe. 8. Zwierzę domowe. 9. Zwierzę pociągowe. 10 Miara powierzchni 11. Spółgłoska

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył J. Markiewicz, legionista, Przemyśl.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

a, a, b, e, e, i, i, i, l, ł, ł, n, n, r, s, t, z.

Trójkąt magiczny.

Ułożył Z. Jurkowski, Kielce

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko polskiego bohatera.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2 Wąż jadowity. 3 Część gramatyki 4. Stopień wojskowy 5 Chory umysłowo. 6. Widmo. 7 Rzeka w Europie 8. Część jamy ustnej. 9. Przyimek. 10 Samogłoska

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie żołnierskie:

A co? O! Sto czarta koni, doża facet poroni.

Okienko.

Ułożył Zetka, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a e e n
n   n   o
o o o r r
r   s   s
s t t u u

Znaczenie wyrazów: 1. Drzewo szpilkowe. 2. Rodzaj poezyi. 3. Imię męskie.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Album Legionów polskich.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 40.

Zadanie do przestawienia: Kowal konia kuje, żaba łapy daje.

Łamigłówka wojenna:
Mir
osa
noc
ton
Ely
sak
Aza
Ney
gig
aga
Bar
rak
iwa
Ewa
lin
eta.

Zadanie do przestawienia: Pij złe, dopijesz się lepszego.

Logogryf:

P o w l e k a
G o l g o t a
H o a n g h o
H a b a k u k
u s d e c z n i k
G e t y n g a
d i o p t e r
H a d r y a n
P o w ą z k i
P a n d o r a
h a s z y s z
P r o p y l e j e
G m u n d e n
b l u s z c z
p a r k i e t
p a l i u s z

Zadanie do uzupełnienia:
1) Cnota sama się chwali
2) Czas wszystko uleczy.

Szarada: Kanapa.

Grzebieniówka:

A u g u s t C i e s z k o w s k i
m   a   a   h   p   a   k   y   m
b   l   t   i   i   l   o   b   p
i   i   r   n   g   e   w   e   r
c   c   a   i   r   s   i   r   e
y   y   p   n   a   k   t   y   z
a   a   a   a   m   l   a   a   a

Zadanie do przestawienia: Nóżki na stół!

Bilety wizytowe: Kołodziej. Zakrystyan. Weterynarz. Koncepista Cyzeler.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Łodyńska Kraków M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor. Ostrawa, T. Nikiel Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, F. Horak Oświęcim, S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, S Drozdowski Lwów, K. Garlicki, Tarnów, J Kozłowski Lwów, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, W. Majewska Stryj, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, K. Borowiecki Lwów. M Golska Wiedeń, M. Raczyńska Lwów, W. Nowiński Tarnów, R. Wójcik Przemyśl, Z. Małecki Lwów. S. Burzyński Jasło, M Borkowska Przemyśl, Z. Walkowski Brzesko, H Dziedzic Tarnów, L. Polański Przemyśl

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **R. Wolański, Wiedeń.** Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego